

ARTHUR CONAN DOYLE



ŚWIAT
W LETARGU

ARTHUR CONAN DOYLE



ŚWIAT
W LETARGU

 SAGA
EGMONT

Arthur Conan Doyle

Świat w letargu

Tłumaczenie A. Spero

Saga

Świat w letargu

Tłumaczenie A. Spero

Tytuł oryginału *The Poison Belt*

Język oryginału angielski

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1913, 2022 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728482674

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

ROZDZIAŁ I.

Spieszę przelać na papier historję naszych niezwykłych przygód, zanim czas zatrze w mej pamięci ich wszystkie szczegóły; nawet w tej chwili, zastanawiając się nad przeszłością, nie mogę obronić się zdumieniu, że właśnie profesor Challenger, profesor Summerlee, lord Roxton i ja — to jest uczestnicy wyprawy do Zaginionego Świata — byliśmy znów świadkami tak niezwykłych zdarzeń.

Nie przypuszczałem nawet, gdym przed kilku laty nadsyłał „Gazecie Codziennej“ sprawozdania z naszej epokowej wyprawy do Południowej Ameryki, iż przypadnie mi w udziale opisywać przeżycia jeszcze bardziej niezwykłe, fakty jedyne w dziejach ludzkości, górujące nad biegiem codziennych zdarzeń jak niebotyczne wierzchołki nad roztaczającą się u stóp ich równiną. To żeśmy w trakcie tego niezwykłego zdarzenia znaleźli się razem stało się w sposób zupełnie zwykły, a nawet nieunikniony. Fakta poprzedzające to zdarzenie opiszę krótko i jasno, gdyż zdaję sobie sprawę, że opowiadanie moje, im bardziej będzie wyczerpujące, tem cenniejsze stanie się dla czytelników, których ciekawość była i jest nienasyconą.

Otóż w piątek, dnia 27 sierpnia — (pamiętna to data w dziejach ludzkości) udałem się do gabinetu pana Mc Ardle, stałego szefa naszej redakcji, i poprosiłem go o trzydniowy urlop. Poczciwy, stary Szkot, pokiwał głową, podrapał się w rzadkie kępki rudawych włosów i wreszcie wyraził słowy swe zakłopotanie.

— Myślałem, panie Malone, że będzie pan mógł oddać nam wielkie usługi w tych dniach właśnie. Zachodzi tu sprawa, którą pan jeden tylko zdoła pokierować należycie.

— Bardzo mi to nie na rękę — rzekłem, starając się ukryć rozczarowanie — oczywiście skoro jestem potrzebny, to kwestja jest wyczerpana. Ale miałem doprawdy pilne, osobiste sprawy, to też, gdyby pan mógł obejść się bezemnie...

— Nie wyobrażam sobie, jak się obejdę.

Trzeba było pogodzić się z tą przykrością; ostatecznie sam ją sobie zawdzięczałem, gdyż powinienem był wiedzieć, że prawdziwy dziennikarz nie jest nigdy panem swego czasu.

— Nie będziemy już więc poruszali tej sprawy — rzekłem z całą pogodą, na jaką mogłem się zdobyć — cóż za robotę chciał mi pan powierzyć?

— Wywiad z tym piekielnikiem w Rotherfield.

— Czy pan ma na myśli profesora Challengeera? — zawołałem.

— Jego właśnie. W zeszłym tygodniu porwał młodego Simpsena, z „Kurjera“, za kołnierz i spodnie i jednym uderzeniem wypchnął go o jaką milę za drzwi swego domu. Prawdopodobnie czytał pan o tym w gazetach; dość, że wszyscy reporterzy woleliby raczej mieć do czynienia z aligatorem, wypuszczonym z zoologicznego ogrodu, niż z tym człowiekiem. Ale z panem rzecz przedstawia się inaczej — jesteście przecież w przyjaźni.

— To rozwiązuje wszystkie trudności — zawołałem ucieszony — prosiłem pana o urlop, panie redaktorze, aby odwiedzić profesora Challengeera w Rotherfield; w tych dniach przypada właśnie rocznica naszej słynnej wyprawy z przed trzech lat, i chcąc uczcić ten dzień, profesor Challengeer zaprosił nas wszystkich na wieś do siebie.

— Kapitalne! — wykrzyknął Mc Ardle, pocierając ręce, a oczy jego błyszczały zza szkielek okularów — będzie go więc pan mógł wybadać. Oczywiście gdyby chodziło o kogo innego uważałbym całą sprawę za nonsens, ale profesor dowiódł nam już raz, że wie co mówi, i kto zaręczy, czy nie dowiedzie tego powtórnie!

— Ale co do czego mam go wybadać? — spytałem — co on zrobił?

— Nie czytał pan w dzisiejszym „Times” jego listu o „Możliwościach Naukowych”?

— Nie.

Mc Ardle pochylił się i podniósł dziennik z podłogi.

— Niech pan to przeczyta głośno — rzekł wskazując mi odnośną kolumnę — chciałbym to usłyszeć, gdyż nie jestem pewien, czym dokładnie zrozumiał treść.

Oto list, który przeczytałem redaktorowi naszej „Gazety”.

„O możliwościach naukowych”

Szanowny Panie Redaktorze! — Niedorzeczny a zarozumiały list p. James Wilson Mac Phail’a, dotyczący zatarcia się linii Fraunhofera w spectrum planet i gwiazd stałych, umieszczony niedawno na szpaltach Pańskiego pisma — serdecznie mnie ubawił (nie chcę bowiem wyrazić swych uczuć w ostrzejszy a bardziej niepoehlebny sposób). Autor uważa wyżej wspomniane zjawisko za rzecz zupełnie bez znaczenia; dla osób o nieco głębszej inteligencji zjawisko to może mieć jednak wielkie znaczenie, — tak wielkie, iż może zagrażać istnieniu ludzkiemu na naszej planecie. Nie łudzę się, abym za pomocą naukowych terminów zdołał myśl moją wyłożyć tym, którzy czerpią swoje wiadomości ze szpalt dzienników,

to też postaram się zniżyć się do ich poziomu umysłowego i zobrazować istniejący stan rzeczy drogą analogji, dostępnej zrozumieniu przeciętnego czytelnika“.

— Toż to fenomen — żyjący fenomen! — przerwał Mc Ardle z przejęciem kiwając głową — ten człowiek zdołałby rozwścieczyć gołębicę i pokłócić kwakrów. Nic dziwnego, że jest zniechęcony w całym Londynie; a doprawdy szkoda, szkoda, panie Malone, gdyż jest to umysł niepospolity. No, ale posłuchajmy tej analogji.

— „Przypuśćmy — czytałem dalej — że ktoś rzucił niewielki pęczek korków na fale Atlantyku; z dnia na dzień korki płynąć będą powoli wśród tych samych warunków i gdyby zdolne były do myślenia, uważałyby te warunki za wieczne i niewzruszone. My jednak, dzięki naszej wiedzy, rozumiemy jak wiele przygód zdarzyć się może tym korkom. Mogą zderzyć się ze statkiem lub ze śpiącym krokodylem, lub zaplątać się wśród morskich wodorostów. W każdym jednak wypadku podróż ich skończyłaby się na tem, że fale wyrzuciłyby je na skaliste brzegi Labradoru. Ale nie zdawałyby sobie wcale sprawy z sytuacji płynąc dzień po dniu przez bezbrzeżny w ich mniemaniu, wiecznie niezmienny ocean.

Czytelnicy pańscy zrozumieją zapewne, że w przerośni tej Atlantyck wyobraża niezmierną przestrzeń eteru, która nas otacza, a pęczek korków — drobny system planetarny, do którego należymy. Jako trzeciorzędna planeta, ciągnąca za sobą ogon nic nieznaczających satelitów, płyniemy wśród niezmiennych warunków ku jakiemuś nieznanemu celowi, ku jakiejś potwornej katastrofie, która czyha na nas w nieznanych przestrzeniach jako Niagara eteru lub nieznanne skały nowego Labradoru. Nie widzę tu nic, coby

usprawiedliwiała płytki i prostacki optymizm Mr. James Wilson Mac Phail'a, ale natomiast widzę dużo powodów, przemawiających za pilnem i baczmem śledzeniem wszystkich zmian, które zachodzą w kosmicznych przestworzach, a od których zależy nasz los“.

— Oho, to mi ministerjalna głowa! — zauważył Mc Ardle — jego wywody brzmią przekonująco, ale dowiedzmy się co go niepokoi.

„Ogólne zacieranie się i zmiana linii Fraunhofer'a, wskazuje, zdaniem mojem, na znaczne zaburzenia kosmiczne o dziwnym i skomplikowanym charakterze. Światło planety jest odbiciem się promieni słonecznych, blask gwiazdy jest natomiast światłem samoistnem. Otóż zarówno spectrum gwiazd, jak i spectrum planet zdradza te same zmiany, czyżby więc zmieniły się tak pierwsze jak i drugie? Przypuszczenie podobne uważam za absurd; cóż za jednakowe zmiany mogły w nich zajść jednocześnie? A więc może zmieniło się coś w otaczającej nas atmosferze? Jest to możliwe, lecz w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, gdyż nie dało się to ani odczuć, ani wykryć za pomocą analizy chemicznej. Jakaż nam pozostaje jeszcze trzecia możliwość? Otóż zmianom mógł uleże eter, który jest subtelną nicią, łączącą gwiazdy w międzyplanetarnej przestrzeni, powłoką otulającą szczelnie cały wszechświat. Pogrążeni w jego bezmiarach płyniemy wśród nieznanych przestrzeni, i kto wie, czy nie wpadniemy w kręgi jakiegoś nowego eteru, o właściwościach zupełnie nam obcych? Coś się zmieniło. Zaburzenie spectrum jasno nam to wykazuje. Zmiana ta może być dodatnia, może być ujemna, może nie mieć żadnego znaczenia. Nie możemy nic przewidzieć. Powierzchni obserwatorowie mogą traktować te zjawiska, jak coś niezastępowalnego

na uwagę, ale człowiek obdarzony tak jak ja głęboką inteligencją i prawdziwie filozoficznym umysłem pojmie, że niepodobna przewidzieć przyszłości wszechświata, i że najmędrszym jest ten, który przygotowuje się na wszystko. Aby żywym przykładem poprzeć moje twierdzenie zapytuję, czy niewytłumaczona a nagła epidemia, o której donosi dzisiaj pański dziennik, a która szerzy się na Sumatrze, nie może być w związku z zaburzeniami kosmicznymi, dającymi się silniej odczuć wśród tamtejszej ludności, niż wśród bardziej psychicznie skomplikowanych mieszkańców Europy? Rzucam myśl, uważając, że uznawanie jej lub przeczenie w obecnych warunkach byłoby bezcelowe. Twierdzę jednak, że tylko zupełnie ograniczony umysł może ją uważać za przekraczającą granicę możliwości.

Z poważaniem
Jerzy Edward Challenger.

Briars, Rotherfield.“

— Dobrze napisany, ciekawy list — rzekł poważnie Mc Ardle, wpychając papierosa do szklanej rurki, służącej mu za cygarniczkę. — Co pan myśli o tem panie Malone?

Musiałem się przyznać do haniebnej nieznajomości poruszanego przedmiotu. Co to było za linja Fraunhofera? Mc Ardle przy pomocy uczonego, wchodzącego w skład naszej redakcji, przestudiował był właśnie te zagadnienia; to też wziął z biurka dwie kolorowe tablice, przywodzące na myśl kokardy jakiegoś bardzo młodocianego a pełnego wygórowanych nadziei klubu cricketowego, i wskazał mi ciemne linje, krzyżujące się na jaskrawych pasmach, które przechodziły stopniowo od barw pomarańczowych, po przez żółte, zielone, błękitne i indygo, aż do fioletowych i innych.